

JAK OSIĄGNAĆ SUKCES W NAUCE (I NIE STRACIĆ CNOTY)? ZAPIS DEBATY

Rozmawiają: prof. dr hab. Edmund Wnuk-Lipiński, Honorowy Rektor Collegium Civitas, prof. dr hab. Maciej Żylicz, Prezes Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, dr Izabela Wagner, Wicedyrektor Instytutu Socjologii UW, oraz dr Michał Łuczewski, Redaktor Naczelny „Stanu Rzeczy”.

Spotkanie poprowadziła Marta Mieszczanek.

Marta Mieszczanek: *Inspiracją naszej debaty jest artykuł Izabeli Wagner pt. „Geniusz czy biznesmen? Sprzężenie karier drogą do sukcesu w nauce, opublikowany w drugim numerze „Stanu Rzeczy”. Opisuje on kulisy kariery Pierre’a Bourdieu. Czy przypadek Bourdieu można uznać za symptomatyczny, czy raczej jest to swego rodzaju anomalia?*

Izabela Wagner: Pierre Bourdieu obrósł legendą, którą aktywnie współtworzył. Dziś, gdy mitologizacja już się dokonała, zbadanie mechanizmów kariery staje się trudne. Wiele z opisanych przeze mnie praktyk Bourdieu polską publiczność, znającą go tylko z publikacji, może szokować, ale we Francji od dawna były powszechnie znane. Everett Hughes powiedziałby na pewno, że jest to skrajny przypadek. W tradycji chicagowskiej, z której się wywodził, porównywano właśnie takie przypadki, ponieważ uwydatniały te aspekty badanych zjawisk, których analiza przypadków typowych często nie ujawniała. Przypadek Bourdieu jest skrajny przede wszystkim ze względu na jego bardzo intensywną działalność naukową i na to, że często współpracował z innymi badaczami. Kooperacja w nauce nie jest niczym wyjątkowym, w wielu dyscyplinach – szczególnie w naukach przyrodniczych – duże grupy naukowców ze sobą współpracują, ale w przypadku Bourdieu ewenementem było bardzo aktywne usuwanie swoich współpracowników w cień. A przecież naukowiec obowiązuje uczciwość

wobec współpracowników. Powinno się im podziękować, a czytelników poinformować o wkładzie poszczególnych osób.

MM: *Czy podobnie wyglądają schematy karier polskich naukowców?*

IW: Naturalnie, spotykamy się z bardzo różnymi przypadkami, ale z tak skrajnym, jak Pierre Bourdieu, nigdy nie miałam do czynienia. W wywiadach z naukowcami, które przeprowadziłam, bardzo często pojawiają się jednak fragmenty historii, która jest skumulowana w jego przypadku.

Edmund Wnuk-Lipiński: Chciałbym opowiedzieć o dwóch przypadkach mocno związanych z moją karierą, a ciekawych, ponieważ zupełnie odmiennych. Pierwszym była moja współpraca z Neilem Smelserem, amerykańskim socjologiem, który w połowie lat 90. zwrócił się do mnie, jak i do innych badaczy z całego świata, o pomoc w zrobieniu syntezy światowej socjologii. Oczywiście, czułem się zaszczycony i przyjąłem jego propozycję bez wahania. Niestety, nie doczytałem tego, co w umowie było napisane małym drukiem. Okazało się, że zobowiązałem się przygotować tekst, który będzie tworzyłem dla autorskiej książki Smelsera. Gdyby przepuścić jego pracę *Sociology*¹ przez program antyplagiacyjny, najpewniej okazałoby się, że 90% tej pracy wcale nie należy do Smelsera, który jednak widnieje jako jej autor. Warto zacytować przedmowę tej książki:

My relations with the contributors post some potentially delicate issues. At the outset we agreed that each of the contributors would provide a topical essay of specific land sufficiently developed that it could be published separately in the International Social Science Journal. We agreed explicitly in advance that I would have complete freedom and judgment in adapting the materials as well as final responsibility for the contents of the volume. Despite of these agreements there remained several unwelcomed potential prospects. Intellectual disagreements between contributors and myself, conflicts concerning pride of authorship and the possibility of bruised egos.

Teksty rzeczywiście ukazały się osobno, ale tę książkę Smelser traktuje z pewnością jako jedno ze „swoich” najważniejszych dzieł.

Drugim przykładem, który chciałbym podać, jest współpraca z początku lat 90. z Ivanem Szelenyim, amerykańskim socjologiem węgierskiego pochodzenia. Szelenyi zwrócił się do mnie z prośbą o zorganizowanie w Polsce zespołu badawczego, który wszedłby w międzynarodowy projekt badawczy dotyczący formowania się elit w Europie Środkowej i Wschodniej.

¹ Smelser N., *Sociology*, Blackwell Publishers, 1994.

To zaproszenie również przyjąłem z wielką radością. Wyniki tych badań ukazały się w specjalnym numerze „Theory and Society”². Otóż relacje przy prowadzeniu tego projektu były zupełnie odmienne od tych opisanych wcześniej. Ivan Szelenyi okazywał się momentami przesadnie skrupulatny, jeżeli chodziło o uwzględnienie wkładu poszczególnych autorów. Dochodziło do tego, że każda uwaga któregoś z młodszych uczestników projektu, która zmieniała ostateczny tekst, była uwzględniana w przypisie, jako refleksja zawdzięczana konkretnej osobie.

Michał Łuczewski: Bardzo ciekawym przykładem, znacznie bliższym Szelenyiemu niż Bourdieu czy Smelserowi, był Charles Tilly, u którego przez pewien czas się uczyłem. Był gwiazdą socjologii historycznej, a jednocześnie osobą gotową do wielkich poświęceń dla swoich studentów. Wstawał codziennie o piątej rano i sumiennie odpisywał na nasze maile. Po śmierci Tilly’ego na jego listę dyskusyjną napływały dziesiątki maili opisujących, jak ważnym człowiekiem był dla wielu, którym pomógł.

EWL: Warto zauważyć, że sukces w tradycji polskiej ma cokolwiek dwuznaczne znaczenie. To niedobrze, zważywszy na to, że każdy z nas chciałby osiągnąć sukces. Dlatego należy uważnie go definiować. Młody badacz, rozpoczynający działalność naukową, powinien odpowiedzieć sobie na pytanie, czy chciałby zrobić karierę zespołowo czy indywidualnie. Ewolucja karier naukowych w polskiej socjologii pozwala wyciągać wnioski o zmniejszającej się liczbie karier indywidualnych kosztem tych budowanych na pracy zespołu. Naturalnie, nie oznacza to, że w każdym zespole nie ma badaczy rozpoznawanych bardziej i mniej, a także takich zupełnie zapominanych. Pamiętam jeszcze socjologię mocno zindywidualizowaną, w której podstawową relacją był znany z uniwersytetów stosunek mistrz–uczeń. Takie relacje bywają jednak dwuznaczne. W socjologii polskiej było wielu mistrzów, którzy stwarzali uczniom atmosferę potrzebną do rozwoju – można by porównać ją do naukowego inkubatora – ale również wielu „mistrzów” traktujących swoich uczniów jak izbę czeladną i budujących własne kariery na podstawie ich pracy. Najlepszym wskaźnikiem, czy mamy do czynienia z mistrzem-inkubatorem, czy z mistrzem z czeladnikami jest liczba doktorantów, którzy u owego mistrza obronili swoje prace. Było bowiem wielu takich mistrzów, którzy, choć otoczeni studentami, nie doprowadzili żadnego z nich do doktoratu.

MM: *Pytanie do profesora Macieja Żyłicza: Czy na gruncie reprezentowanych przez Pana nauk sytuacja wygląda podobnie jak w humanistyce?*

² “Theory and Society”, special issue, Vol. 24/5.

Maciej Żylicz: Podobnie. W naukach przyrodniczych pracuje się na ogół w bardzo dużych zespołach, przy jednej publikacji może być wymienionych kilkaset nazwisk. Oczywiście, istnieją normy, często zupełnie odmienne, które regulują, w jakiej kolejności badacze są wymieniani. Na przykład, w środowiskach medycznych – co otwarcie krytykuję – na pierwszym miejscu wymienia się zazwyczaj profesora, a następną badacze są wymienieni w bliżej nieokreślonej kolejności. W fizyce często elementarna kolejność jest alfabetyczna. W biologii molekularnej, którą uprawiam, pierwszym autorem jest osoba, która wykonała większość doświadczeń, profesor, lider zespołu, jest na ostatnim miejscu jako autor korespondencyjny.

W laboratorium nie zawsze istotne jest fizyczne wykonanie doświadczeń, ale udział w dyskusji. Często zdarza się, że osoba, która sama nie przeprowadzała doświadczeń, widnieje jako współautor, ponieważ miała wiele dobrych pomysłów i wniosła świeży powiew do właśnie publikowanych badań. Taki wkład natomiast nie jest już mierzalny.

MM: *Jak w świetle tych rozważań można odnieść się do problemu „cnoty” w nauce?*

IW: Według mnie Mertonowski ideał nauki, w której wszyscy powinniśmy być anonimowi i pracować dla wspólnego dobra, nie może funkcjonować. Taki etos funkcjonuje w informatyce, gdzie wielu użytkowników współpracuje razem i nie mamy do czynienia z autorstwem w potocznym rozumieniu. To nie musi być jednak jedyne „cnotliwe” wyjście. Ważne, żeby przy współpracy z kimś uczciwie to zaznaczyć. W naukach humanistycznych wiele zawdzięcza się autorom czytanych lektur. W tym wypadku rozwiązaniem jest sumienne cytowanie i powoływanie się na inspiracje.

Nie wszystkie kultury funkcjonują w ten sposób. W niektórych kulturach azjatyckich, na przykład, przypisanie sobie sentencji mistrza jest dla niego największą nobilitacją. Należy pamiętać, że nie wszystko można mierzyć zachodnioeuropejską miarą.

MŻ: Warto wspomnieć jeszcze o innych elementach Mertonowskiego uniwersalizmu. Po pierwsze o bezinteresowności. Jeżeli artykuł o pozytywnych skutkach picia czerwonego wina sponsoruje region Bordeaux, to nachodzą mnie wątpliwości co do bezstronności badań. Po drugie, o „zorganizowanym sceptycyzmie”, którego również, niestety, się nie przestrzega. Stawiane tezy należy przede wszystkim obalać, a nie potwierdzać. Merton wspominał, że pięć pozytywnych przykładów jest bezwartościowych, jeżeli znajdzie się jeden, który je zaneguje.

EWL: Brak bezinteresowności jest, niestety, poważnym problemem naszej, w znacznym stopniu upolitycznionej, nauki, która staje się nieraz

polem walki. W rzeczywistości znam tylko jednego naprawdę bezinteresownego uczonego, pewnego rosyjskiego matematyka, Grigorija Perelmana, który udowodnił hipotezę Poincarégo i nie przyjął Nagrody Tysiąclecia w wysokości miliona dolarów przyznawanej przez Instytut Matematyczny Claya. Perelman prowadzi ascetyczny tryb życia, jego jedyną miłością jest matematyka, ale niestety, traktowany jest jako dewiant.

MŻ: Do wspomnianych idealów Mertona dodałbym również odpowiedzialność, bez której odpowiednie uprawianie nauki jest bardzo trudne. Wielu przedstawicieli – szczególnie nauk ścisłych – musi, prowadząc badania, wchodzić w konflikt ze swoim sumieniem. Z problemem odpowiedzialności musieli się z pewnością zmierzyć naukowcy tworzący Projekt Manhattan. Warto pamiętać, że moralność może czasami stymulować rozwój nauki. Istnieje dyskusja na temat etyczności pozyskiwania komórek macierzystych z embrionów ludzkich. Część naukowców uważała takie działania za nieakceptowalne etycznie i dzięki temu odkryła, że można uzyskać takie komórki nie z embrionów, ale ludzkich komórek somatycznych, np. skóry. Okazuje się zatem, że silne postawy etyczne mogą stymulować rozwój i kierować badania na zupełnie nową drogę.

IW: Mówimy wiele o idealach mertonowskich, ale pamiętajmy, że jego koncepcja efektu św. Mateusza była inspirowana pracami Harriet Zuckerman, jego przyszłej małżonki. Merton przyznał się do tego dopiero dwadzieścia lat po opublikowaniu pracy! Chciałabym też nawiązać do Perelmana. Być może warto się zastanowić, czy nie zamienił on kapitału ekonomicznego na kapitał symboliczny. Wszyscy pamiętamy dzisiaj o nim jako o tym naukowcu, który nagrodę odrzucił. Pamiętajmy, że kapitał pieniężny ulega konwersji na prestiż.

MŁ: Moim zdaniem, największą rolę w nauce musi odgrywać prawda. W naukach społecznych słowo „prawda” wywołuje często ironiczny uśmiech. Ale poszukiwanie prawdy pozwala naukowcom serio traktować swoją robotę. Uświadamia im, że prowadzone przez nich badania dotyczą najwyższej stawki, bo wyjaśniają i opisują rzeczywiste procesy społeczne. Peter Berger uważał, że nauki społeczne zmieniają się w dziennikarstwo, jeżeli naukowcy nie mogą poszukiwać w nich prawdy.

Tomasz Piątek: Jestem doktorantem Instytutu Studiów Społecznych. Bardzo interesuje mnie kwestia związku między cnotą naukowca i jego zaangażowaniem. Za utratę cnoty może być uważane zaangażowanie się we współpracę z podmiotami prywatnymi. Dla kogoś innego odejściem od idealów jest już współpraca ze sferą publiczną i pomoc określonym

grupom społecznym. Chciałbym usłyszeć państwa zdanie na ten temat. Czy istnieje związek między cnotą i zaangażowaniem, a jeśli tak, to jakie zaangażowanie jest utratą cnoty, a jakie nie?

EWL: To jest fundamentalne pytanie. Niestety, rozczaruję pana, ponieważ nie ma ostrej granicy, która pozwalałaby nam zdefiniować zaangażowanie pozwalające jeszcze zachować cnotę. Wydaje mi się jednak, że manipulowanie odbiorcami jest takim zachowaniem, które już absolutnie stawia badacza za tą granicą. Odbieranie podmiotowości innemu człowiekowi przez manipulowanie jego świadomością i postrzeganiem świata jest zdecydowanie utratą cnoty.

Wszyscy badacze są ludźmi, mają własne systemy wartości i w przypadku sytuacji granicznej muszą jakąś postawę przyjąć. Przykładem takiej sytuacji granicznej jest rewolucja. Neutralny badacz nie istnieje, *value-free sociology* jest ideałem. Dlatego, aby unikać manipulowania odbiorcami, należy jasno przedstawiać swoją hierarchię wartości.

W czasach przełomów 80. i 89, które miałem szczęście obserwować, można było przyjąć dwie określone postawy socjologiczne: postawę neutralnego badacza, obserwującego życie publiczne z dystansu, i postawę badacza zaangażowanego. Badacz aktywny służył swoją wiedzą socjologiczną rodzącym się siłom politycznym wyznającym wspólny z nim system wartości. W owym czasie duża część środowiska socjologicznego zaangażowała się w ramach tej drugiej opcji i włączyła w życie polityczne zarówno w czasach pierwszej, romantycznej Solidarności, jak i w okresie rozmów Okrągłego Stołu. Kiedy uformował się rząd Tadeusza Mazowieckiego, grupa socjologów stworzyła Zespół Doradców Socjologicznych Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, który służył radą w budowaniu w Polsce demokracji i gospodarki rynkowej. Nigdy nie miałem wtedy poczucia utraty cnoty. Taka sytuacja wymaga opowiedzenia się po jakiejś stronie i zaangażowania właśnie. Razem z obecnym tu Antonim Sulkiem uważaliśmy, że opowiadamy się po stronie dobra. Niemniej jednak taki argument może zostać łatwo zbity, ponieważ nasi przeciwnicy polityczni również mogą mieć wrażenie, że sytuują się po stronie dobra. Jasnej odpowiedzi na pana pytanie nie ma, ale takie rzeczy powinno czuć się intuicyjnie.

MŻ: Taki sam problem pojawia się w naukach o życiu. Współpracuje się z firmami, które nie zawsze zachowują się etycznie. Jedynym celem jest często zarobienie pieniędzy, dlatego na przykład firmy farmaceutyczne nie rozwijają badań nad rzadkimi chorobami, bo na tym nie można zarobić! W jednym ze skandynawskich krajów rząd sfinansował badania genetyczne całej populacji, co samo w sobie jest nieetyczne, ale następnie sprzedał

tę bazę danych firmie, która korzystała z tych danych w sposób etycznie wątpliwy. Ważne, żeby decyzję o zaangażowaniu w badania sponsorowane przez firmy podjąć jednoznacznie i nie ukrywać tego faktu. W przypadku zbierania danych osoby dostarczające tych informacji, np. pacjenci, muszą być poinformowane, w jakim celu przeprowadza się badania i jak ich wyniki będą wykorzystywane.

Antoni Sulek: Moim zdaniem składniki etosu wyróżnione przez Mertona są właśnie rozmaitymi cnotami naukowymi. Czym innym jest cnota w liczbie pojedynczej. Powstaje aktualnie wiele indywidualnych prac naukowych, ale są również takie, które można by nazwać quasi-indywidualnymi. W księgarniach można spotkać wiele obszernych książek jednego autora. Otóż jeden autor nie ma możliwości napisania tylu prac samemu. Norman Davies, który jest wybitnym pisarzem historycznym, nie jest autorem wszystkich swoich książek. Zresztą nie ukrywa, że współpracownicy przynoszą mu pierwsze wersje rozdziałów. Ale ma to swoją cenę. Potrzeby rynku i chęć sławy niszczą często coś, co decydowało o unikalności prac autora. Presja na etyczne prowadzenie badań jest coraz silniejsza. Ciekawej ewolucji uległ ostatnio kodeks Amerykańskiego Towarzystwa Socjologicznego. Prace pisane przez profesora i magistra nie wymagają już tylko umieszczenia magistra jako współautora, ale kładą nacisk na umieszczenie go przed profesorem. Istnieje powszechna obawa przed byciem nieuczciwym. Bardzo rzadko, na przykład, pojawiają się w Polsce prace pisane wspólnie przez profesora i jego studenta. Student nie śmie wystąpić z propozycją, a profesor ma obawy przed byciem posądzonym o próbę wykorzystania pracy studenta. Niestety, student nie napisze dobrego artykułu sam, a profesor często nie ma na to czasu. Wracając do problemu stosunku mistrz–uczeń. Posiadanie swojego mistrza jest niezwykle istotne: ci, którzy nie mieli mistrza, to tak jakby się bez ojca wychowali, a z takich, co ojca nie mieli, trudno, żeby coś uporządkowanego wyrosło. Mistrz jest dobry, ale w pewnym momencie trzeba się wobec niego zbuntować. Przez bunt się dojrzewa. Dodatkowo bunt pozwala stać się widocznym. Osiągnięcie takiej widzialności jest w naukach społecznych priorytetowe. Można ją osiągnąć, pisząc dobrą książkę, można również związać się z kimś znanym, o czym pisał Piotr Sztompka. Bunt jest szczególnym sposobem na osiągnięcie widzialności. Ofiarą tego padł m.in. sam Piotr Sztompka, który napisał książkę o fotografii, a następnie otrzymał miażdżącą recenzję nieznanego nikomu adiunkta z IFIS PAN. Ta osoba stała się dzięki temu bardzo znana. Dzisiaj obserwuję brak takiej odwagi. Dawniej energia blokowana politycznie sublimowała się właśnie w socjologii, dziś energia socjologiczna musi się urodzić sama.

IW: W nauce bardzo ważna jest również rola państwa. Jeżeli państwo sówicie finansuje badania, to pokusa nieetycznej pracy jest znacznie mniejsza. Co innego, kiedy dotacje się kończą. Wówczas naukowcy wiążą się z firmami prywatnymi, aby móc dalej prowadzić badania. Pośrednio dużą rolę odgrywa więc też społeczeństwo, które ma prawo przypominać decydentom o tym, co dla niego ważne. Wydaje mi się, że ten element akurat nie funkcjonuje w Polsce dobrze. Wszyscy płacimy podatki i mamy prawo decydować o tym, na co te pieniądze powinny być wydawane. Gdybyśmy nie płacili podatków, wówczas naukowcy byłiby skazani na prywatne firmy. Tutaj otwiera się pole do działania dla socjologii, która jest tak blisko społeczeństwa, że może powalczyć o edukowanie obywateli, o wskazanie lepszych praktyk, których wszyscy byśmy chcieli. Odpowiednie poinformowanie społeczeństwa jest nawet obowiązkiem socjologa. Dobrym wzorcem wydają się uniwersytety amerykańskie, na które trafiają pieniądze z prywatnych przedsiębiorstw i są odgórnie rozdawane naukowcom w ten sposób, że nie ma bezpośredniego kontaktu między płatnikiem a badaczem. To są doświadczenia, które mogłyby nas uchronić przed niebezpieczeństwami źle zaangażowanych badań.

Tadeusz Szawiel: Pierre Bourdieu był na pewno osobą wybitną. Takie osoby mają tendencję do gromadzenia innych wokół siebie. Być może osoby, które kierują się w nauce wewnętrznym powołaniem, są gotowe zapłacić cenę anonimowości w zamian za uczestnictwo w tworzeniu nauki. Podziękowanie w ramach przypisu może nie być tak istotne, jeśli możemy partycypować w uniwersalnym gromadzeniu wiedzy, gdzie ważne są wyniki, a nie badacze. Jeśli podejmiemy do tego w ten sposób, możemy zmienić perspektywę analizowania przypadku Bourdieu. Być może warto uwzględnić ten wymiar. Ciekawe wydaje mi się pytanie o przyczyny tego, że niewątpliwie wybitne osoby akceptowały swoją podrzędną rolę. Ten zespół nie przyciągał ludzi ze względu na możliwość awansu, ponieważ większość z jego członków wiele już osiągnęła. Z wybitnym talentem łączy się coś niesamowitego, żeby nie powiedzieć, diabolicznego. Od wszystkich oczekujemy zachowania cnotliwego, ale być może bycie oryginalnym i produktywnym jest związane z tym czynnikiem, który nie poddaje się kontroli etyki. Komponent wykraczający poza cnotliwość dostrzeżemy u Carla Schmitta, Martina Heideggera czy Maxa Webera.

Jan Winczorek: Wydaje mi się, że państwo nie przemyśleli dokładnie takiej właśnie możliwości. Być może warto pozwolić Bourdieu, by pozostał

takim Bourdieu, jakiego znamy. Randall Collins w *Socjologii filozofii*³ pokazuje, że historię filozofii można wytłumaczyć przez dostęp do dwóch zasobów – energii emocjonalnej i kapitału kulturowego. Historia filozofii jest zatem siecią ludzi, którzy przekazują sobie energię emocjonalną przez wzajemne słuchanie siebie i kapitał kulturowy przez relacje mistrz i uczniów. Może się zatem okazać, że jedną z efektywnych strategii uzyskiwania kapitału kulturowego i energii emocjonalnej jest postępowanie w duchu Pierre'a Bourdieu. Być może nie mielibyśmy efektów jego pracy, gdyby nie było osoby, która gromadziłaby wokół siebie innych wybitnych naukowców.

IW: Wkład Bourdieu do nauki bardzo trudno poddać jednoznacznej ocenie. Analizując czyjąś karierę, zawsze trzeba się zastanowić, czy oceniać ją w kategoriach krótko- czy długodystansowych. Jeżeli w nauce kariera będzie mierzona z perspektywy dłuższego czasu, to wówczas nie byłabym pewna przetrwania spuścizny Bourdieu. Być może powszechnie uwzględniani będą jego współpracownicy. Nie będzie się już mówić o samym Bourdieu, ale Bourdieu i Jean-Claude Passeronie czy Bourdieu i Monique de San Martin.

Wydaje mi się także istotne, żeby pamiętać, że Centrum Socjologii Europejskiej zostało stworzone w istocie przez Raymonda Arona, a nie Bourdieu. Bourdieu nie był od początku gwiazdą światowej socjologii i wiele osób w CSE było tam ze względu na cenionego wówczas Arona. Bourdieu zaczął przyciągać, kiedy stał się pewnym symbolem rewolucji na uniwersytetach francuskich. Reprezentował młodość, która wypierała uniwersytecki konserwatyzm. Przyciągał zatem wszystkich, którzy chcieli wprowadzić zmiany w szkolnictwie. Ponadto nie wolno zapominać, że cały zespół składał się z wybitnych postaci i Bourdieu nie był jedynym czynnikiem, dla którego to miejsce było pociągające dla badaczy. Niektórzy badacze szybko stamtąd odeszli, jak tylko zapoznali się z obowiązującymi praktykami. Te zachowania też wykształcały się powoli. Dopiero w ostatnich latach, kiedy Bourdieu stał się bardzo sławny, wiadomo było, co się rzeczywiście dzieje w jego laboratorium. W tym czasie przyłączanie się do jego zespołu było wyborem strategicznym. Dawało bardzo atrakcyjną posadę i sporo przywilejów w środowisku. Wiele osób było zafascynowanych charyzmą Bourdieu, bardzo popularnego wśród studentów, ale również w szerszych kręgach. Ta sytuacja rozwijała się stopniowo.

Poza tym, nie można zapominać, że pewna osoba z ekipy Bourdieu leczyła się wiele lat w szpitalu psychiatrycznym. Nie można usprawiedliwiać

³ R. Collins, *The Sociology of Philosophies: A Global Theory of Intellectual Change*, Belknap Press, Cambridge, Mass.

istnienia takich laboratoriów tym, że członkowie akceptowali swoją podrzędną rolę, ani tym bardziej łatwością przyswajania informacji przez odbiorców. Koszty indywidualnych osób są ogromne, wiele lat pracy może zostać podpisane cudzym nazwiskiem. Jeżeli rzeczywiście w nauce jest potrzeba istnienia kogoś, kto gromadzi wokół siebie badaczy i uwagę, to odpowiedzią wydaje mi się podany w artykule przykład szkoły Nicolasa Bourbaki [pseudonim grupy francuskich matematyków, którzy w roku 1935 założyli działające przy École normale supérieure w Paryżu stowarzyszenie *Association des Collaborateurs de Nicolas Bourbaki* – red.]. Stworzenie fikcyjnej postaci jest lepszą możliwością zaspokojenia potrzeby na magazynowanie kapitału pod jednym szyldem. Warto się jednak zastanowić, czy taka potrzeba rzeczywiście istnieje. Uważam, że gdyby nie praktyki Bourdieu, we francuskiej socjologii pojawiłoby się więcej rzetelniejszych prac. Wiele badań Bourdieu, do których miałam dostęp, było źle robionych, wyniki dopasowywano do przyjętej hipotezy.

MŻ: Niestety, nagminne jest wyszukiwanie tylko takich dowodów, które pasują do postawionej wcześniej hipotezy. Na granicy działań nieetycznych jest również fakt, że socjologowie, wypowiadając się w mediach, zabierają często głos na temat badań, z którymi nie mają wiele wspólnego. Oczywiście, nie wolno milczeć na temat przedmiotu swoich badań. Prawdziwe posłannictwo wiąże się z tym, że nie można milczeć, jeżeli ma się wiedzę na dany temat. Problemem jest jednak fakt, że wielu badaczy, posługując się swoim autorytetem, wypowiada się na obce sobie tematy.

EWL: Pamiętajmy o tym, że symptomy gromadzenia wyników badań wokół jednej charyzmatycznej osoby nie są nowością. Rzut oka na starożytną filozofię uświadomi nam, że właściwie nie pamiętamy powszechnie filozofów z otoczenia Platona ani Arystotelesa. Być może właśnie tak jest zbudowana nauka.

21 listopada 2012, Instytut Socjologii UW
Opracował Adam Suwiński